

ZIARNO



GROBOWIEC STANISŁAWA I JANA ŻÓŁKIEWSKICH W ŻÓŁKWI.

Obrona miast przed żydami.



łowroga paszcza kolonizacji pruskiej nauczyła nas szacunku dla ziemi. Rząd berliński uderzył nas w najboleśniejże miejsce, dążąc do wydziedziczenia ludności polskiej z posiadania roli. Własność nieruchoma jest dzisiaj jedyną podstawą bytu narodowego; od niej zależy, czy mamy oparcie dla celowej polityki gospodarczej i kulturalnej, czy, tracąc ją, zamieniamy się w bezdomny proletarijat, w ludność ruchomą, bez praw i fundamentów istnienia.

Bez względu na postępek demokratyczny, warstwy posiadające, — ziemię na wsi, dom w mieście, — rozstrzygać będą o trwałej organizacji społecznej i narodowej.

Dlatego wszelkie wysiłki ogółu i jednostek w Wielkopolsce idą w jednym kierunku: nie sprzedawania ziemi najezdcom, aby nie kopać sobie beznadziejnej otchłani zatury, i potępiania bezwzględniego każdego sprzedawczyka, który dla złota pozbawia naród ostatniej ostoi istnienia. Jest to dążność praktyczna i idealna zarazem: wraz z utratą ziemi na wsi traci prawo bytu lekarz, adwokat, rzemieślnik i robotnik polski w mieście; proletarijat bez rzeczywistych podstaw pracy i zarobku nie może tworzyć kultury i duchowej wartości narodu.

Nie inaczej ma się sprawa u nas, w Królestwie. Warunki obecne nie zagrażają jeszcze naszej polskiej ziemi na wsi; nie jest to nasza zasługa, lecz wynik stosunków politycznych i ekonomicznych. Natomiast bardzo wątpliwy jest stan naszego posiadania — w miastach.

Weźmy pod uwagę fakt doniosłego znaczenia. Część przedstawicieli warszawskiego tow. kredytowego miejskiego stawiała w radzie ministrów w Petersburgu wniosek o ograniczenie prawne liczby żydów w łonie swej organizacji.

Na członków wymienionej instytucji składają się właściciele nieruchomości miejskich. Polacy mieli do tej pory nieznaczną przewagę. Lecz obecny prąd żydowski, zmierzający do zagarnięcia wszelkich wartości ekonomicznych w miastach z świadomym celem krzywdzenia i usuwania Polaków od wpływu i znaczenia, groźne wywołał widmo: Ruchliwi, obowiązkowi i zabięgliwi żydzi wezmą przewagę w tow. kredytowym miejskim, a wtedy biada polskim właścicielom kamienic i gruntów! Dzisiaj żydzi nie potrzebują już się kryć z swą nienawiścią i zachłannością; dzisiaj mogą grać w karty otwarte. A zamiary ich w niczem nie różnią się od kolonizatorów pruskich. Tak jak oni wypisali na swym sztandarze zagładę narodowi polskiemu!

Więc polscy członkowie tow. kredytowego miejskiego, idąc za przykładem podobnej organizacji w

Odesie, chcieli zabezpieczyć się formalnie ustawą. Zamiar ten nie udał się, rada ministrów wskazała im zawiłą i zmuzną drogę prawodawczą jako linię, na której stawkę swą najpewniej przegrają.

Okazuje się, że obrona miasta Warszawy w tym kierunku nie znajdzie poparcia w Petersburgu. Otrzymaliśmy zatem jeszcze jedną lekcję, że nam wolno ufać tylko sobie samemu, pokładać wiarę w własne wysiłki i budować przyszłość tem, co się własnymi rękoma i własnym zrobie trudem.

I niewątpliwie stało się lepiej. Gdy teraz przysły ostatnie złudzenia, mieszczanie polscy rozumieją całą groźbę położenia jaśniej i, jeżeli nie chcą oddać siebie i swych potomków na pastwę żydostwa, nie pragną być parobkami litwaków i sjonistów — pomyślą o praktycznym zabezpieczeniu własności miejskiej. Gdzie nie poradzą jednostki, tam wskazaną jest kooperatywa spółek, związków i grup, a zarząd ekonomiczny nieruchomości warszawskich nie dostanie się w ręce naszych najzawziętszych wrogów.

Sprawa ta nasuwa jedno ogromne ważne zagadnienie: podstawą naszego bytu nie są prawa narodowe i historyczne, lecz fakty rzeczowe, materialne.

My mówimy o posiadaniu naszej ziemi i nieruchomości jako prawa, wynikającego z biegu dziejów i woli Opatrzności. Temu twierdzeniu przeciwstawiają inni fakty ogromnej ilości ludności żydowskiej w miastach Królestwa Polskiego i jej znaczenia gospodarczego. Niewątpliwie mamy my słuszność ideową i myślową, lecz przeciw nam idzie gorzka i twarda rzeczywistość.

Ta zaś uczy, że posiadanie obowiązuje nas nie tylko w Wielkopolsce, gdzie kolonizacja wykrada nam wsie i obszary dworskie, lecz zarówno i tu, w miastach Królestwa, gdzie żydzi wyzuwają nas z domów i własności nieruchomej.

Władza, do której zwrócono się z tow. kredytowego miasta Warszawy powiedziała lub przynajmniej dała do zrozumienia: bronicie polskośći kredytu miejskiego i polskich nieruchomości; pokażcie naprzód, że miasta wasze w istocie są polskie! I nie obawiała się odpowiedzi. Czterdzieści procent żydów w Warszawie, większość żydowsko-niemiecka w Łodzi, miasta pograniczne i prowincjonalne, mające jedynie polski proletarijat — to groźne i straszne fakty, których żadne piękne prośby i dowodzenia nie obalą.

Nie dziw, że znalazły się koła rosyjskie, które nasze żądania polskiego samorządu miejskiego przyjęły z urąganiem i ironją. Cóż znaczą prawa historyczne wobec nagich, a tak wymownych faktów!

Bronimy polskiego przemysłu i handlu, lecz nie wolno nam zapominać przytem o ratowaniu naszej

najrdzenniejszej podstawy istnienia narodowego, naszego stanu posiadania w miastach.

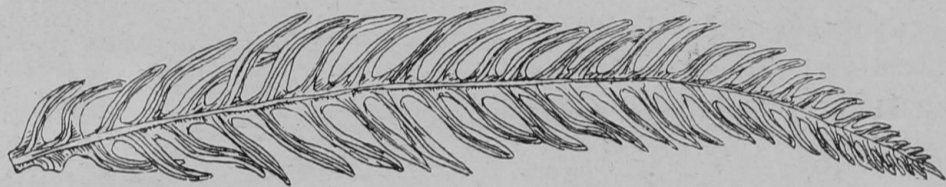
Zakusy litwackie temu i owemu otworzyły już senne oczy. Czy ogół zrozumiał całą doniosłość chwili, pokażą blizkie wybory w tow. kredytowem miejskiem w Warszawie. Ujawnią ona na nowo opie-szałość, lekceważenie obowiązku, lenistwo i obojęt-ność — lub dadzą świadectwo odradzającego się du-cha obywatelskiego w stolicy kraju. Biada nieobecny-m, oni nigdy nie mają słuszności — mówi stare przysło-wie, a my dodajmy — i siły!

Na obywatelstwie miejskiem na prowincji ciąży rów-nież obowiązek utrzymania i powiększania stanu własno-sci w kamienicach i nieruchomościach. Od tego zależy,

czy przewagę materjalną, a co za tem idzie, i władczą mieć będzie żyd czy polak, czy oblicze kraju przedstawiać będzie mieszaninę kapitalistów litwackich i proletariatu polskiego, czy wreszcie zmienia się rolę i staniemy się pa-nami u siebie, na własnej ziemi, w polskim kraju!

I pamiętajmy jeszcze: ograniczania prawne nic nie pomogą, gdy niema ducha i wiary w narodie. Silniejsze od najostrzejszych ustaw rosyjskich okazało się żydowstwo, które wyrzucane drzwiami, wchodziło oknami i kominami. Tam, gdzie nie stanie przeciw litwakom zasobne i zorganizowane obywatelstwo miej-skie, nie da im rady nawet dobra wola kół rządzą-cych. Ta zawiodła—więc pomóżmy sami sobie. Czas w czynu stal uderzyć!

Wacław Gryżyński.



Pamięci bohaterów.

Jak słupy ogniste wyrastają z dziejów naszych postacie bohaterów, którzy i dzisiaj jeszcze służyć mogą za wzór miłości ojczyzny i bezgranicznej ofiar-ności. Patrząc w bieg ich życia czysty i wzniosły, pokolenie współczesne znajduje zachętę i otuchę oraz wiarę w nieśmiertelność tej ojczyzny, która takich na świat wydała synów.

Niby rycerz bez trwogi i nagany błyszczy spi-zowa postać Stanisława Żółkiewskiego, hetmana i kan-clerza wielkiego koronnego, bohatera z pod Ce-cory, a obok niego świeci jakoby gwiazda o nowych blaskach, syn nieodrodny Jan, któremu los nie po-zwolił zginąć za Polskę w sędziwym wieku — tak jak ojcu, lecz zabrał go w tej samej potrzebie wo-jeunnej w rozkwicie kraszy młodzieńczej.

W Żółkwi, o $3\frac{1}{2}$ mili od Lwowa odległej, zna-nej już w wieku XIV, wznosi się kościół, wystawio-ny w roku 1623 przez króla Jana Sobieskiego. Tu-taj zwycięzca z pod Wiednia postawił pomnik obroń-cy Polski z pod Cecory, nad prochami Stanisława i Jana Żółkiewskich. *) Dwa wielkie obrazy w tejże świątyni pędzla malarza królewskiego Kestlera, przed-stawiają bitwę pod Kłuszynem (4.VII.1610) i Cho-cimem (11.XI.1673) oraz rozprawy z pod Wiednia i Parkan. Oprócz tego mieści kościół w Żółkwi wspa-niały obraz Matki Boskiej, malowany przez Carla Dolce, oraz namiot wielkiego wezyra, jedwabiem i srebrem przerabiany.

Stanisław Żółkiewski, ur. w r.1547, już w młodym wieku chlubnie oznaczył się w wojnie gdańskiej

i wcielony do chorągwi Jana Zamoyskiego, w krót-kim czasie niepospolitą nauką i walecznością zyskał sobie zaufanie i serce króla Batorego. Pod Byczyną otrzymał w walce przeciwko Maksymiljanowi austrija-ckiemu postrzał w nogę i odtąd chromał już przez całe życie. Nie znalazłszy względów Zygmunta Wa-zy, unikał dworu i najchętniej oddawał się pracom rycerskim na najbardziej zagrożonych posterunkach kresowych. W Winnikach dziedzicznych wznosił twierdzą, przemienił wieś na miasto i nadał mu na-zwę Żółkwi.

Kolejno walczył przeciwko kozakom i uspo-koiwszy bunty Łobody i Nalewajki, zyskał ich mi-łość przez łagodne swe postępowanie. Dalej potykał się z szwedami i odznaczył się znów chwalebną wa-lecznością, a pod Kłuszynem pobił na głowę Dymi-tra Szujskiego mimo jego sił przeważających. On to sprawił, że bojarowie moskiewscy ofiarowali ko-ronę cesarską królewiczowi Władysławowi, którą utracił dom Wazów przez upór Zygmunta III. Po świetnym wjeździe do Warszawy i niebyswałym tryumfie, zganił ostro przed sejmem błędy króla i wrócił znów na granice tureckie, aby wreszcie w obronie kraju ledz na polu chwały.

Zniechęcony swawolą szlachty i przeszkodami, jakie mu ustawicznie stawiano, chciał zrzec się bu-ławy, król jednak na to nie przystał i Żółkiewski posłuszny jego woli wyruszył znów na wroga.

Otoczony nad Dniestrem na stepach cecorskich nieprzeliczonymi tłumami Turków i tatarów, walczył krok za krokiem, dzień za dniem, cofając się na Ruś taborem. Swawolne tymczasem rycerstwo pol-skie bezkarnie opuszczało obóz, zwiększało zamie-szanie i wystawiało sędziwego hetmana na coraz większe niebezpieczeństwo. Już blisko granic Polski oskoczony nowymi zastępami pohańców, przekonał

*) Zob. rycinę tytułową.

się Żółkiewski, że wszystko stracone. Przebrał się więc w proste żołnierskie szaty, by nie być poznany. Stanąwszy między szeregami walczył do ostatka i poległ bohaterską śmiercią dnia 6 października 1620 r. Pełno miał ran na ciele, a odciętą głowę zatknął turek na spise i odniósł do dowódcy Skinder baszy. Syn hetmański Jan, walczący do końca przy boku ojca, dostał się ciężko ranny do niewoli.

Głowę hetmana wykupiono wraz z drogiemi zwłokami tak samo i syna, który zmarł z rany w r. 1623 w Warszawie, przeżywszy zaledwie lat 28.

Obu zwłoki pochowano w Żółkwi, gdzie po dziś dzień pomnik ich jest na wieczne czasy świadectwem niezłomnego męstwa, prawdziwej miłości ojczyzny i wiernej służby dla sprawy.

Z.

Polska sztuka plastyczna.

II.

Epoka Odrodzenia, która w całej kulturalnej Europie rozwinęła sztukę do najwyższych granic artyzmu, poruszyła także twórczość polską. Okazała się potrzeba licznych obrazów świętych do nowo-

Polska ginęła w zamieciach wojennych i politycznych, zapadło znów w sen letargiczny, aż wskrzesił je na nowo potężny genjusz Matejki.

Po roku tysięcznym, kiedy minął szczęśliwie dzień zapowiedzianego sądu ostatecznego i blada dotąd z przerażenia i drżąca w oczekiwaniu zagłady ludzkość poczęła patrzeć wesołej w przyszłość, nad widnokretem sztuki ukazał się pierwszy przedświt różany.



St. Chlebowski.

Własność H. Bechowskiej w Krakowie.

Szkic batalistyczny.

powstałych kościołów i tym sposobem, podobnie jak na zachodzie, zrodziło się i u nas malarstwo religijne. Zamknęło się w zgromadzeniach zawodowo religijnych i ustawami swemi ciasne zakresliło granice swego rozwoju, na razie jednak odpowiadało potrzebom czasu i stało na wysokości zadania. Malarstwo cechowe z wieków XIV, XV i pierwszej połowy XVI pozostawiło rzeczywiście zabytki, których z punktu widzenia sztuki lekceważyć nie wolno. Później, gdy

Na wschodzie Europy panował jeszcze bizantyjnizm surowy i sztywny, na zachodzie jednakże objawił się już powrót do natury, ożywienie postaci na obrazach religijnych, nowe dążenia, nowe barwy i życie rzeczywiste. Dwa te prądy, jeden idący z Bizancjum przez Kijów, drugi płynący z zakonnikami z klasztorów benedyktyńskich od zachodu, musiały się spotkać w Polsce. Górę wziął ożywczy romanizm.

Objawia on się najpierw w ozdobach ksiąg, emalji i mozaice kościelnej. O ile powstało w tym czasie w Polsce malarstwo na drzewie, zmiotła je straszliwa fala dzicy mongolskiej za Bolesława Wstydliwego w roku 1240, która powtórzyła się jeszcze dwa razy i zostawiła za sobą tylko niebo i ziemię. Jakże wobec tego wygląda owa sławna bitwa pod Anghiari w Włoszech, co to ją uwiecznili Michał Anioł i Leonardo da Vinci w swych pięknych kartonach florenckich, która zabrała życie aż dwu walecznych, zabitych przez nieuwagę. Rozkwitującą Polskę natomiast strawił ogień mongolski do szczętu, kamień nie pozostał na kamieniu, a z rodzącej się za przykładem Włoch sztuki romańskiej nie zachował się ani ślad mały.

Szybkie odrodzenie swe zawdzięcza Polska w wieku XIII i XIV natężonemu ruchowi kolonizacyjnemu zakonników francuskich i włoskich oraz rzemieślników niemieckich. Zwłaszcza ta druga warstwa napływowa za uzyskany u nas dobrobyt płaciła nam czarną niewdzięcznością. Pamiętny jest trzykrotny bunt zgermanizowanych mieszczan krakowskich przeciw Bolesławowi Łokietkowi. Niemniej objawiający się w wieku XIII styl gotycki, ostrołukowy, i organizacje cechów artystycznych noszą wybitne piętno niemieckie. Wtedy to powstała ornamentyka, czyli zdobienie świątyń malowidłami roślin, zwierząt, postaci ludzkich i linji, oraz malarstwo na szkle, czyli witraż. W kościołach ustawiano ołtarze trójdzielne z malowidłami na drzewie, pokrytem w pierw płótnem i gipsem; zaczęto też przedstawiać postacie biblijne, legendy, sceny z życia codziennego, uobrazowane enoty jak i występki. O ile w epoce romańskiej, przed najazdem Mongołów, sztuką zajmowały się wyłącznie zgromadzenia zakonne, o tyle teraz dział ten twórczy przechodzi zupełnie w ręce świeckich majstrów i przedsiębiorców.

Na ziemiach polskich ogniskami sztuki w epoce gotycyzmu są Wrocław, Kraków i Poznań, później występuje Lwów, podczas gdy Warszawa nie

miała wówczas własnego cechu malarzy. Wrocław mimo zniemczenia miał pewne znamiona polskie, a przynajmniej słowiańskie, zawdzięczając je wpływowi Pragi czeskiej. Zwłaszcza kult Madonny, bardzo silnie rozwinięty w Czechach w wieku XV, silnie wycisnął piętno na polskich obrazach Matki Boskiej, zachowanych nam z tego czasu.

Cech malarzy krakowskich był istotnie zgromadzeniem artystycznym. Należeli do niego rzeźbiarze, snycerze, malarze na szkle i złotnicy — oraz pozornie bez związku z twórczością wywołoną stolarze, szpalernicy i tarczownicy. Przewodnicząc malarze i rzeźbiarze, lecz styczność interesów sprawia, że i inni rękodzielnicy pod wspólnym niebem sztuki znajdują w cechu opiekę i możliwość doskonalenia się w swym fachu.

Najlepiej objaśnia dążność i zadania cechu przywilej królewski Zygmunta Augusta, potwierdzany i rozszerzany przez jego następców. Jeden ustęp jego brzmi:

„Nasamprzód, kto chce zostać mistrzem, czyli to jako malarz, stolarz lub goldszlager (złotnik), ten powinien się przedewszystkiem w cechu opowiedzieć, także dwa lata naprzód u jakiego majstra pracować, a każdy ma sporządzić majstersztyk, jako to: obraz Najsw. Panny z Dzieciątkiem Jezus, powtóre obraz Zbawiciela świata, potrzebie Św. Jerzego na koniu. Które to sztuki majstrowie oglądać mają, czyli on w przyszłości może

tu zostać majstrem i ich rzemiosło sobie obrać“.

Ustawa bractwa lwowskiego z roku 1597 nakazuje prócz jednego tematu religijnego wykonanie dwu świeckich, portretu i bitwy lub łowów. Tu i tam jednak jako nieodzowny warunek wymagana dwuletnia wędrowka do krajów obcych powiększała znacznie zasób wiedzy nabytej w cechu i pozwalała rozwinać się talentom samodzielnie oraz przerosnąć tłum majstrów i czeladzi aż do wyżyn twórczego artysty.

To też akta z wieku XIV i XV wymieniają już cały szereg wybitnych twórców krakowskich i poznańskich, których dzieła niestety nie przechodzą



St. Fabjański.

Na etapie.

wały nam wieki następne. Wiemy z nielicznych ułamków i przemaalowań to jedno tylko, że po szkole praskiej i norymberskiej powstać musiała swoista szkoła krakowska, która, aczkolwiek nieśmiało, na polskich poczyniała tworzyć wzorach i pomysłach.

Jako najwybitniejsze dzieło malarstwa cechowego uchodzi tryptyk św. Jana w kościele św. Katarzyny w Krakowie, fundowany przez Mikołaja Lanckorońskiego z Brzezia na początku wieku XVI. Objawia on znaczną znajomość rysunku, dążność do nadania figurom szczerzego wyrazu, oraz wielką wprawę w używaniu barw, brak mu natomiast zupełnie perspektywy. Cech malarski w Krakowie obwarował się przywilejami, zapewnił sobie ulgi i zobojętniał na postępy sztuki, która poza nim zdobywała sobie nowe pola i wyżyny. To też, kiedy zaczął do Polski napływać żywioł obcy i malarze włoscy, niemieccy i francuscy stanęli do współzawodnictwa, cech krakowski, zasklepiiony w średnowieczczyźnie, bez sił żywotnych, bez przygotowania, usunął się dobrowolnie na plan drugi. Dlatego też dzisiejsze polskie malarstwo jest bez ciągłości i tradycji, jakoby wyrosłe samo z siebie na glebie nieznannej.

T. W. J.



WEZWANIE



*Z sercem gorącym, z promieniem oświaty
idźmy przez lasy, pola, między chaty,
tam, gdzie w srebrzystych śniegach przytulona
nędza człowieka wyciąga ramiona,
a może serce ludzkie na wołanie
drgnie i powstanie.*

*A może jednak w łonie ciemnej nocy
gdzieś na dnie drzemie iskra świętej mocy,
gdzieś na dnie serca... gdzieś w głębinie duszy
płonie ta orla moc, co głązy kruszy...
a jeśli drzemie... niech serc naszych dzwony
zbudzą miliony.*

*Bo jeśli mogę rzec, że bratnią pieśnią
otrzem łzy ludziom, co o rajy nie śnią,
jeśli dźwięk głosu wlał w pieśni nadzieję,
niech dźwięczą pieśni — płomień niech goreje...
Kto sercem zdobył ziemi częśćką małą,
ten ma ją całą!*

Zygmunt Zaleski.



PIOTR JAXA BYKOWSKI.

PAMIĘTNIKI WŁÓCZĘGI.

MYSZURES.

(C. D.).

Mijał już z czubem lat dziesiątek, jak kurz drożny zakrył Krzuckich, ojca i syna. Siła burz i huraganów przeleciała nad krajem, wszystko, aż do rządów, zmieniło się z fundamentu. Cztery tylko wioski podsędka stały na miejscu, jak je pozostawił wyjeżdżając z synem na posłowanie, a nikt jakoś nie zwrócił na to uwagi, iż wioski były bezpańskie.

Wioska wołyńska, to jak jej szlachcic świeża, zdrowa, wesoła, serdeczna i otwarta, jak jej pana serce i ramiona. Nadzwyczajności w niej nie szukać; zieleni się jak panna w wianeczku: to się tam gdzieś kwieciem zarumieni, to obdarzy dojrzałym owocem — ot, zwykle, wiejska prosta zalotnica!

Bieluchne chatki, porozrzucane wpośród zieleńiących sadów, żyją sobie i Boga chwalą z dala od zgiełku i zabiegów światowych; a jeżeli co zakłóci odwieczny ich spokój i ciszę, to chyba warczenie młynka wiejskiego na potoku, lub podczas wieczoru piosnka robotników, wracających od codziennej pracy. Dzień tam do dnia podobny, pogoda do pogody, cisza do ciszy.

Na przyczółku wioski, pomiędzy odwiecznemi, rozsochatemi drzewami, krył się sobie dworeczek o sakramentalnym ganeczku, a niegdyś wysokiej strzesze, która dziś przez czas i zaniedbanie przygniatając sam dom, wiła się nad nim, mchem porośla, jak jakiś wąż ogromny, zielony, przybierając rozmaite kształty.

Nad strzechą na wysokiej żerdzi, wznosiło się koło, usłane słomą i mierzwą, a była to rezydencja mieszkańca równin leśnych i błotnych — bociana, który pompatycznie, wspiąwszy się na swej wyżynie klekotał. Niegdyś to koło opierało się o sam wierzchołek strzechy, lecz gdy ta przez czas osiadła, wzniosło się ku niebu, jakby wysoka kopuła na małej świątynce. Pomimo to bocian nie pogardził gościnnością przyjaciela człowieka i każdej wiosny na stare siedlisko powracał, co według przesądnego nieco przywiązania wołyńiaków do tego ptaka, przyjaciele nieobecnych Krzuckich, poczytywali za dobry znak, mawiając sobie na pociechę:

— Wrócił bocian i oni wrócą.

A mówili to z taką pewnością i wiarą, jakby słowa pacierza.

Wszakże odleciał już i powrócił bocian razy kilkanaście, a jednak dworek stał pusty na pozór. Chociaż zdawało się, że krom bociana, nikt stamtąd na świat boży nie patrzy, co rano jednak uchylały się drzwi boczne dworku, a z nich wysuwała się żółwim krokiem para sędziwych staruszków: dziadek

siwy jak gołębek, pochylony prawie ku samej ziemi, drżące ręce wspierał na grubym, sękatym kijku. U pasa wisiał pęk kluczy, a gruba rdza na nich świadczyła, iż od dawna już do żadnego zamka nie zaglądały. Pomimo to starzec co chwila drżącą dłonią dotykał kluczy, jakby chciał ich bytność na miejscu sprawdzić, a może być, iż mu do równowagi w chwiejnym chodzie dopomagały.

Pasa starca, jak dziecię piastunki, trzymała się skostniałą ręką zgrzybiała babina, a widocznie, że bez tej pomocy ruszyłyby się nie mogła o własnej sile, bo ile razy staruszek potknął się lub zachwiał na nogach, ona upadać się także zdawała. Z pod białych, dużych szlerek czepca, wysuwała się twarz bladej trupiej, koścista i ostra, a tylko para małych, wklęsłych oczu, świecąca jak dwa rozżarzone węgielki, świadczyła, że istota posiadająca je, nie jest jeszcze całkiem kościotrupem i że coś tam się z resztek życia w niej kołocze.

Owa para, jakby upiorów, wysunawszy się z bocznej skrzydła dworku, z trudnością przez chwasty zarosłe przesuwiała się przez podwórko, ku bramie, staruszek ciągle utykając, a babina wspomagając się jego pasem; aż na koniec, gdy nie bez trudności stanęli na środku dziedzińca, na małym wywyższeniu, stary jak mógł się wyprostował, wznosił głowę do góry i wzrok zatopił w cztery strony świata. Patrzał tak długo, długo, a potem dwa razy kiwnął głową znacząco. Pierwszy z tych gestów zdawał się przyodziewać w tę mowę: „I jeszcze ich niema...” drugi zaś, z wzniesieniem oczu ku niebu, widocznie oznaczał: „Bóg łaskaw da, iż powrócą...” Do tego gestu dodawał starzec silniejsze brzęknięcie po pęku kluczy, jakby pilno mu było wręczyć je rychło prawemu właścicielowi.

Po czasie pewnym tej obserwacji, zawsze odzywał się głos suchy staruszki, jakby wychodzący z pod ziemi:

- A co, synku?
- Nie widać.
- A bocian jest?
- Jest.
- To wróca.

Ostatnie te wyrazy wymawiała staruszka z taką powagą i pewnością wyroczni, że stary raźniej brzękał kluczami. Dzień po dniu, słot nawet nie wyjmując, oboje staruszkowie wysuwali się na to zwodnicze spotkanie swoich panów.

Pewnego dnia wiosennego, kiedy znów bocian wędrowiec z zimowych podróży zawitał do przyjacielskiego gniazda, wcześniej się z kryjówki wychyliłi oboje w świąteczne szaty przybrani. Od razu doleciał ich niezwykły ruch w wiosce.

Trzeba znać wioski wołyńskie na głuchem Polesiu, nieznające żadnych komunikacji, prócz z sąsiednim miasteczkiem, dokąd prowadzi jedna grobelka usypana przez bagna, moczary i trzęsawiska. Prócz chłopka zagnalonego potrzebą, który zaledwie

tam parę razy zawita i oprócz przebiegłego żydka, arendarza wiejskiego, co sprowadza sól, jedyną prawie potrzebę, a do tego proch i śróty, jedyny zbytek znany przez poleszuka, mało kto wyszedł za obręb wioski. Są zaś w niej tacy, którzy się i wnuków doczekali, nie wiedząc wcale, co się po za ich miedzą dzieje, i umierali z tą myślą, że oprócz poleszuka stworzył Bóg jeszcze księdza, arendarza i ekonoma i że na tem cała robota Twórcy się skończyła. Są wie szczęśliwe, które od początku istnienia nie widziały u siebie urzędnika policyjnego i nie ponosiły wojskowego kwaterunku. Jedna wioska od drugiej o jaką lekką milkę odległa, a nie wiedzą o sobie nawzajem. Nikt tu nie chodzi na wyszukiwanie zarobków, mając własnej ziemi więcej niż obrócić jest w stanie, a do tego potrzeby nader ograniczone.

Nadstawiali staruszkowie uszu na takie zjawisko, którego, odkąd żywi, w wiosce nie widzieli: cała ludność sioła, na ten raz złożona z starców, niewiast i dzieci — bo wszystko mocniejsze, jako w dzień wiosenny, na robotę w pole wyległo — cisnęła się z krzykiem podziwu. W powietrzu dawały się słyszeć odgłosy dziwnej muzyki, ale nie wiejskich skrzypków i cymbałów, bo cóżby zresztą robiły w dzień nieświęteczny? Lecz, o ile ludność biegła wprzód skwapliwie na spotkanie niezwykłych przybyszów, o tyle z okrzykami trwogi i przerażenia cofała się, uciekając i kryjąc się po kątach.

Staruszek, stojąc na obserwacyjnym punkcie, napróżno dłonią wzrok osłabiony przysłaniał, bo niczego dojrzeć nie mógł, a tem mniej zdać sobie sprawę z tego, co się działo.

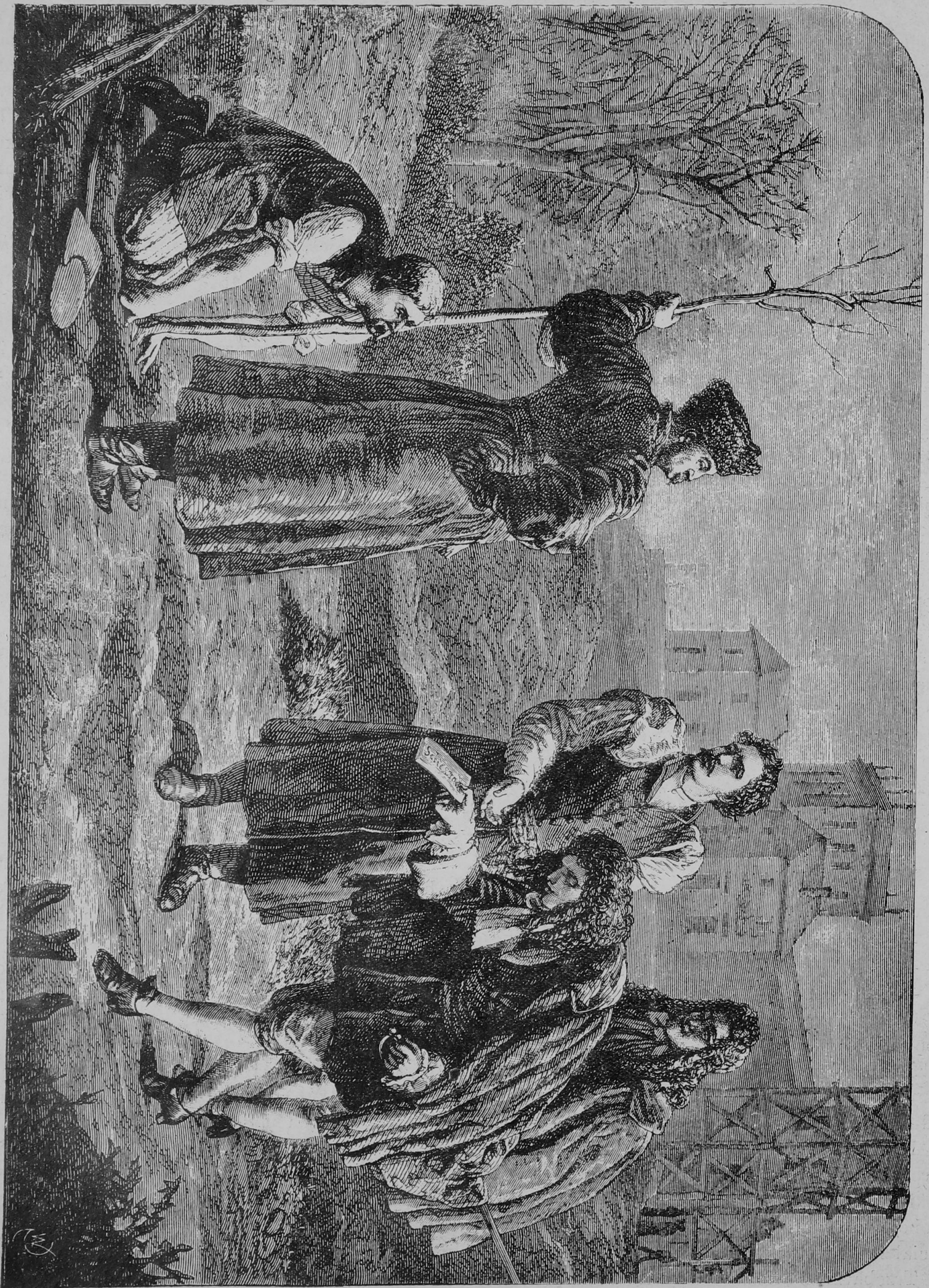
— A co tam, synu? — spytała staruszka, z rosnącą ciekawością.

— Nic nie wiem, matko: krzyk, jakby się gdzie paliło, ino płomienia nie widać.

— A ja ci powiadam, że jegomość przybywa, bo nasz bociek wrócił dziś taki wesoły, jak jeszcze żadnej wiosny nie był; to już, powiadam ci, nie chybi.

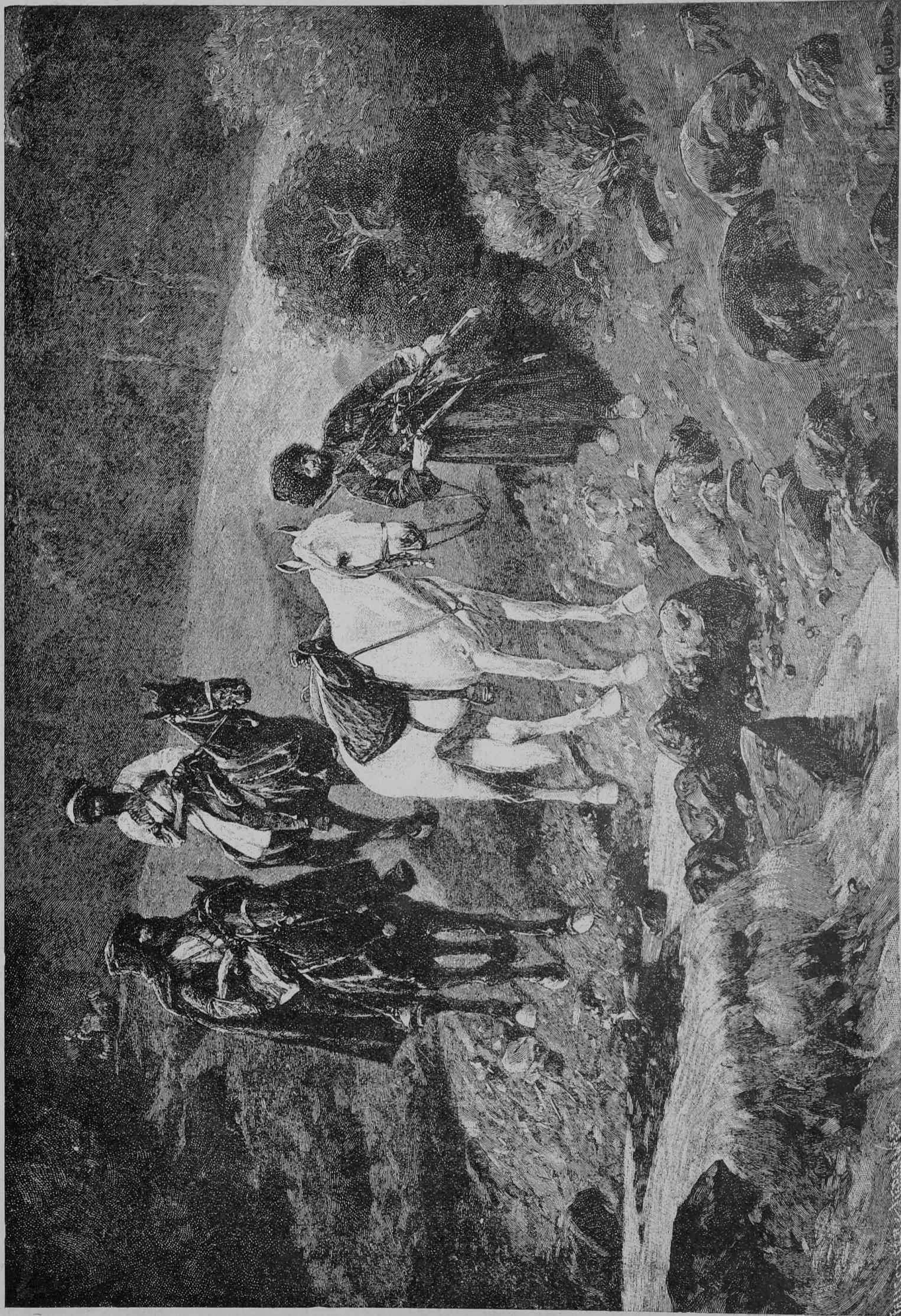
— Oby, matko, Bóg przemawiał przez wasze usta! — odparł starzec, w dal wytyężając wzrok osłabiony.

Tymczasem postrach ów wioskowej gawiedzi coraz to się zbliżał ku dworkowi, a tak był niedaleki, iż stary słabym wzrokiem mógł już rozróżnić orszak, ku nim podążający. Na czele szedł jakiś niski człeczyna, o oliwkowej cerze, wschodniego plemienia, dziwacznie ubrany w zawój z gałganków i strzępków, z pod którego przezierały sploty włosów kołtunowych, skręconych. Przez plecy miał przewieszony jakiś rodzaj małego, ale wrzaskliwego bębenka, w który bił często jedną ręką, w drugiej zaś trzymał piszczałkę niewielką, dmąc w nią nie miłosiernie. U łokcia miał przywiązany długi łańcuszek, na którym prowadził dziwne stworzenie, w czerwonej kurcie, z ogonem, niby człowiek, niby



Wojciech Gerson.

SOBIESKI SADZI DRZEWKA W WILANOWIE.



W GÓRACH KAUKAZU.

FR. ROUBALD.

jakaś bestja — słowem było to coś nieznanie przez ludność wiejską, które jej najwięcej strachu napełdziło i do ucieczki dało powód, tembardziej że wyprawiało rozmaite nadludzkie skoki lub przekrzywiała się do dzieci wiejskich, czem obok zabawy przestraszało ich niemało.

Za tą pierwszą parą postępowała druga, której człowieczeństwo nie uległo najmniejszej wątpliwości, z tą wszakże różnicą, iż starszy z tej pary raził dziwactwem i oryginalnością stroju. Miał na sobie jakąś kurtkę, niby huzarską, całą szamerowaną złotem, a raczej szychem, już dobrze wypławionym, pludry także w botfordach, wszystkie znacznie podszarpane; za nim brzęczała siarczyście pochwa, samą bowiem szablę unosił z fantazją w górę, jakby pędził do ataku. Dopełniała całości tego dziwaczne-go stroju wysoka na łokieć czapka z niedźwiedzie-go futra, z kitą niezwykajnie wysoką. W ogóle ów mąż miał minę wojacką, sierdzistą, a do tego dodawał sobie jeszcze marsowego animuszu.

Obok niego szedł swobodnie młody jeszcze człowiek, w pełni życia, a chociaż znać na nim było uznojenia podróża i przydłuższymi trudami, jednak trzymał się rażno. Twarz miał piękną, chociaż smutkiem głębokim napiętnowaną, a oko jasne i pełne, którem zdawał się wszystko dokoła siebie pochłaniać. Mundur na nim był legjonowy, ułański, a chociaż także poszarpany, jednak znać na nim było, iż noszący tę suknię dbał o nią i przywiązywał do niej szacunek. Kiedy już przeszli wrota wiejskie, młodszy mąż, któremu to piszczenie i odgłos bębena widocznie słuch raziły, ozwał się do starszego:

— Pułkowniku, możebyś kazał zaprzestać tej piekielnej muzyki, straszącej niemiłosiernie spokojnych mieszkańców wioski?

— A cóż cię to, synku, muzyka pułkowa razi? — odburknął, tytułowany pukownikiem, sierdzicie. — A gdzież to widział, mdły ptaszku, ażeby iść do ataku bez bębna i piszczałki? Ot lepiej do bądź tam swej kopystki i miej się na baczności, a nie leż tak opieszale, jak żółw jaki.

— Ależ, pułkowniku, pozwól się zapytać, co i kogo atakujemy, bo jak dotąd, nic tu zbrojno i po nieprzyjacielsku nie patrzy?...

— Owóż są te smyki, jaja od kur mędrsze — prawil w dalszym ciągu pułkownik, a zawsze buńczucznie, co już było jego zwyczajnym tonem. — Gdyby tak Bonaparte pytał jak wać, a nie miał się zawsze w gotowości w Egipcie, tożby mameluki i bisurmany dali mu bobu!... A może tu jaki djabeł zaniósł jedną z piramid, a z nią mameluków, he? Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Jeszcze nie dokończył rozpoczętego monologu pułkownik, kiedy zbliżył się do bramy dworku. Była ona stara, już dawno nieotwierana, bo spoczęła na zardzewiałych zawiasach, wszakże i ta zaporą stała sobie tylko dla formy, bo częstokół otaczają-

cy podwórze, tak był przerzedzony, iż szerokiego przystępu do dworku wcale nie tamował. Skoro wszakże stanęli przy bramie, a młodszy rwał się biedz do wnętrza, pułkownik groźnie go powstrzymawszy ręką, dał znak doboszowi, aby zaprzestał muzyki, a sam nawiązawszy białą płachtę na koniec pałasza, dobył z głębi wnętrzości jakiegoś bohaterskiego głosu, którym wołał na całe gardło:

— W imieniu rzeczypospolitej francuskiej i generała Bonapartego, wzywam obecną twierdzę i całą jej garnizon do poddania się z wszelką amunicją i wojennymi zapasami... czego jeżeli nie dopełni od wyż rzezonej chwili za godzinę, stosowne kroki nieprzyjacielskie będą rozpoczęte.

— He?... ja nie dosłyszę — odparł z środka staruszek, przykładając kułak jednej ręki do ucha, jakby czynił z niej sobie trąbkę słuchową.

Pułkownik jeszcze głośniej i uroczyściej rozpoczął wezwanie do poddania się, gdy wtem młodszy jego towarzysz, przesuwając się przez szczerbę w częstokole, rzucił się na szyję staremu, wołając drżącym od łez i wzruszenia głosem:

— Witajcie, dobry Michale!

Ale pułkownik zawołał, rozumie się jeszcze sierdziciej:

— U kata! co tam za nieposłuszeństwo w szeregach!... Synku, na miejsce! słuchać komendy, albo sąd wojenny, kula w łeb i koniec!

Wszakże, na ten raz, głos a raczej ryk wojenny pułkownika nie wywarł pożądanego wrażenia, bo był zagłuszony szybką mową obojga starych, gęstem łkaniem przeplatana, a wyraz wyrazu nie doganiał.

— Florek, nasz panicz... O Boże! jakżeś miłosierny, iżeś starych oczu nie zamknął przed tym dniem radosnym... A co, nie mówiłam, że nasz stary boćko wrócił rażniejszy i weselszy niż kiedy?... O, słonko moje jasne, paniczu jedyny; a jaki ty piękny, jak jaki święty!... Tożem doczekała pociechy!..

Sypała się jednym ciągiem ta mowa z obojgu starych piersi, przeplatana łkaniem, to uściskami. Aż gdy się nieco staruszkowie uspokoili, ozwał się Michał:

— A pewnie i stary jegomość nadciągną zaraz.

— Pomódlcie się za duszę mojego ojca — odparł smutnie młodzieniec. (d. c. n.).



Dla dobra ludu.

Istniejące w chwili obecnej w wszystkich prawie znaczniejszych miastach Europy zachodniej ja-dłodajnie ludowe powstały dzięki szlachetnej inicjatywie ludzi, pragnących zapewnić robotnikom zdrowe i jaknajtańsze pożywienie. Atoli zadania

i cel jadłodajni ludowych są głębsze, niżby się to na pozór mogło wydawać.

Uważać je należy przede wszystkim jako doniosły i pierwszorzędny czynnik kształcący i umoralniający szerokie masy.

A więc pierwszym i najdonioślejszym zadaniem jadłodajni ludowych jest dobór takich potraw, które przyczynićby się mogły do odzwyczajenia robotników od używania alkoholu, bo ten pociąga za sobą znaczne wydatki i zgubne skutki dla zdrowia. Hygieniści wszystkich krajów kulturalnych zgodzili się na to, że potrawy mleczne i słodkie, tj. ściśle mówiąc — cukier, stanowią w wielu wypadkach i u wielu osobników bardzo skuteczny środek przeciwalkoholiczny.

Z powyższego łatwo wysnuć wniosek, że do walki z alkoholem nie wystarczy samo zakładanie jadłodajni pozbawionych napojów alkoholicznych, jak to się dzieje w Szwajcarii, lecz trzeba jeszcze postarać się, aby robotnicy za możliwie najniższą cenę dostać tam mogli potraw mlecznych i słodkich (konfitur, kompotów itp.). Zadaniem jadłodajni ludowych jest również rozpowszechnianie wśród swoich spożywców napojów higienicznych, w celu odzwyczajenia ich od używania alkoholu; te zaś jadłodajnie ludowe, które nie przedsięwzięją powyższych środków, nie odpowiadają w zupełności swojemu przeznaczeniu.

Zważywszy tak doniosłe znaczenie jadłodajni ludowych dla społeczeństwa i wielki ich brak u nas, nie zawadzi przyjrzeć się z kolei organizacji i ich rozwojowi w rozmaitych krajach Europy zachodniej. Zaznaczam przytem, że streszczając działalność *jadłodajni ludowych*, nie mam wcale na myśli instytucji dobroczynnych, które za minimalną opłatą wydają żywność nędzarzom, lecz takie instytucje, które, nie korzystając z żadnej zapomogi, same pokrywają koszty swojego utrzymania. A że jadłodajnie ludowe powyższego typu mogą istnieć i nawet doskonale się rozwijać, dowiodły tego od dawna rozmaite kraje Europy zachodniej, gdzie zarząd z opłaty, pobieranej za obiady, nietylko pokrywa koszty ich utrzymania, lecz osiąga jeszcze pewne zyski, których używa na zakładanie nowych jadłodajni tego samego typu.

Tak postępuje zarząd londyńskiej „Alexandra Trust Dining Room”, założonej przez królową angielską, gdzie obiad, składający się z zupy, pieczeni, dwu jarzyn, budyniu i filiżanki kawy lub herbaty, kosztuje około 20 kop. Takie same ceny mniej więcej za obiady, składające się z tej samej liczby potraw, pobierają i inne jadłodajnie ludowe w Londynie, z pośród których wymienić należy sale Lockharta i sale Filipa, oraz „Women's dining Rooms Limited”, założone wyłącznie dla kobiet i młodych dziewcząt, zaopatrzone w umywalnie i posiadające czytelnię. Oprócz obiadu, za minimalną zapłatę, wynoszącą od 16 do 17 kop. mniej więcej, dostać tam

można mięso z dwiema jarzynami, porcję budyniu za 4 kop., szklankę mleka za 2 kop. itd.

W Niemczech towarzystwa, znane tam pod nazwą „Dla dobra ludu”, pozakładały kuchnie ludowe w wszystkich prawie znacznych miastach — w Berlinie, Dreźnie, Monachjum, Stuttgarcie, Karlsruhe itp. Inicjatorką powyższych zakładów w Niemczech jest Lina Morgenstern i wielka księżna badńska. Oprócz jadłodajni ludowych, liczne zakłady dla kobiet i młodych dziewcząt, w rodzaju np. szkół kucharskich lub szkół gospodarstwa domowego, wydają obiady za opłatą od 12 do 17 kop. Rozmaitego typu „Przytułki dla robotnic”, pozakładane zwłaszcza w dzielnicach robotniczych, to prawdziwe hotele, gdzie robotnice nocują za bardzo małą opłatą, otrzymując śniadanie za 4 do 5 kop., obiad za 12 do 18 kop., a kolację za 8 do 12 kop. Lina Morgenstern jest również inicjatorką wózków, zawierających rozmaite napoje przeciwalkoholiczne, jak: kawę, czekoladę itp., które kursują w dzielnicach robotniczych. „Berliński związek dla higieny ludu” zorganizował rodzaj kuchni przenośnych, mieszczących się w wózkach, które objeżdżają miasto w rozmaitych kierunkach, rozwożąc gorącą zupę, rosół i parówki, oraz gorące napoje zimą, a chłodzące latem. Oprócz wymienionych wyżej, istnieją w Niemczech jedyne w swoim rodzaju bardzo pożyteczne kuchnie ludowe dla chorych, gdzie za bardzo niską opłatą otrzymać można takie potrawy, jakie choremu zalecił lekarz.

Jadłodajnie powyższe wydają bezpłatnie pożywienie ubogim chorym oraz przysyłają je do domu takim, którzy nie mają kogo posłać po obiad. Czyż takie zakłady społeczne nie zasługują na słowa najwyższego uznania?

W Szwajcarii członkowie tow. przeciwalkoholicznego odegrały taką samą rolę przy zakładaniu jadłodajni ludowych, jak w Niemczech stowarzyszenie kobiet „dla dobra ludu”. Mianowicie staraniem ich powstało ośm jadłodajni ludowych w Zurychu oraz domu na Zurycherbergu, znany pod nazwą „Dom ludowy i kuracyjny”, przeznaczony na wypoczynek dla robotników. Im również zawdzięczają jadłodajnie ludowe Lucerna, Saint-Gall, Bazylea i inne miasta. Cena zaś obiadów wynosi od 40 do 60 centymów (14—20 kop.) w Zurychu i od 50 do 80 (16—26 kop.) w Bazylei.

W Szwajcarii francuskiej dzięki narodowej partji robotniczej z posłem Wintschem na czele zawiązała się kooperatywa w celu założenia jadłodajni ludowych. Kapitału zaś niezbędnego na budowę gmachu dostarczyła kasa oszczędności. Za opłatą 63 centymów (22 kop.) dostać tam można zupę, mięso, jarzynę, kawałek chleba i ćwierć litra wina. Oprócz obiadów wydają również na porcje mięso i jarzyny; ceny kawałka sera, chleba, filiżanki kawy itp. wahają się między 5—10 centymami (2—4 kop.).

Jadłodajnie ludowe w Francji obejmują dwie



Żandarmerja albańska aresztuje w Walonie wichrzycieli tureckich.

grupy: Paryż i prowincję. Na czele drugiej grupy znajdują się lugduńskie jadłodajnie Manzinięgo, które śmiało zaliczyć można do najlepiej urządzonych jadłodajni ludowych. Posiadają one piękne, widne i obszerne sale z doskonałym przewietrzaniem, dzięki której wcale się w nich nie odczuwa przykrego zapachu kuchennego. W zdumienie wprawia zaiste widok pożywnego posiłku za 50 centymów, w sali, gdzie stołownicy usługują sobie sami, i za 65 centymów w sali z usługą. Nawet Paryż nie posiada tak wzorowo i umiejętnie zorganizowanych jadłodajni ludowych.

Pomimo doskonałego przyrządzania posiłku i bardzo niskich cen, miał Manzini jeszcze 6-50 proc. zysku, co jest najwymowniejszym potwierdzeniem dowodzenia, że dobrze zorganizowane jadłodajnie ludowe same pokrywają koszty swego utrzymania.

Z jadłodajni ludowych w Paryżu zasługuje prze-

pracowników.

Gdy mamy już jakie takie wyobrażenie, co uczyniła w powyższym kierunku zagranica, czyż będziemy jeszcze usiłovali znaleźć słowa usprawiedliwienia dla siebie? Dla siebie, którzyśmy zbyt mało w tym względzie dotychczas działali.

E. Ż.



Z KAUKAZU.

Polowanie na koziorożce w górach Kaukaskich.

(c. d.)

A przecież wprost nieznośny uczuwa ból głowy, spowodowany przebywaniem od kilku tygodni na wysokości od 3-4 tys. metrów ponad poziomem



Kursy dla włościanek, urządzone przez Warszawskie Koło Ziemianek.

morza. Rozbija tu sobie namiocik, ale płótno zamało chroni od dokuczliwości powietrza.

Pałace promienie słońca, których nie łagodzi lekkość powietrza, przemieniają się w rodzaj szpilek. Suche powietrze sprawia, że skóra pęka, szczególnie na wargach, co wywołuje ból tak przenikliwy, że nie można opanować swoich nerwów.

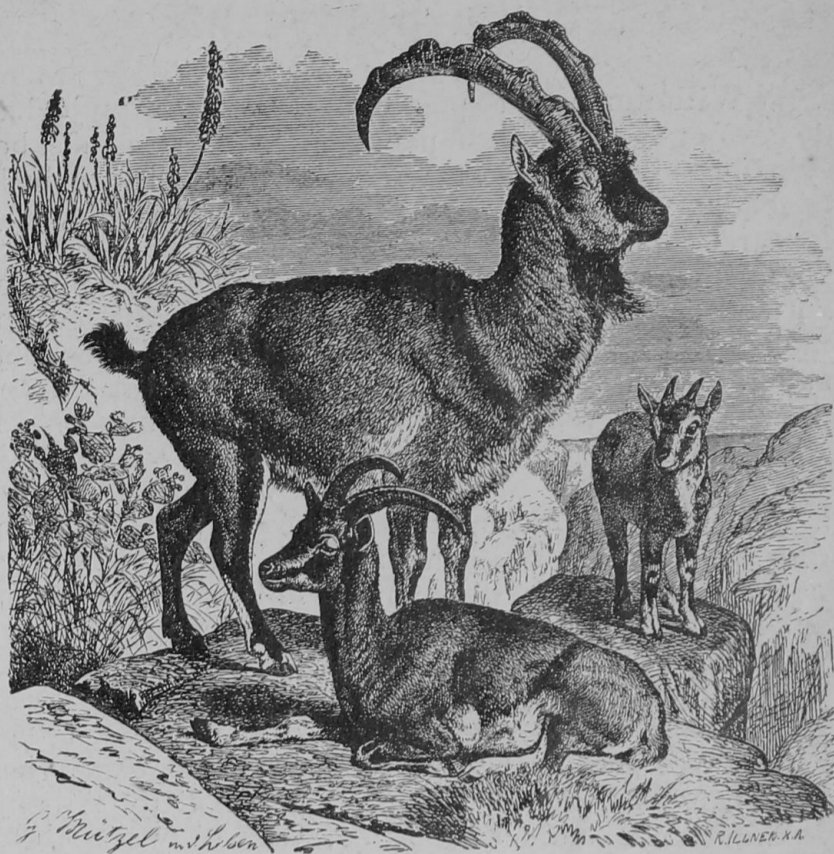
Tak wolno, że zdawaćby się mogło, iż nigdy nie będzie końca, wylania się naprzód cień olbrzymi, który rzucać zaczyna ku wschodowi ściana skalna. Słońce zapada coraz niżej i niżej, luneta myśliwego traci wszelką siłę wobec rozlanej naokół ciemności, a pomimo to oślepia blask, padający z cyplów lodowych, zawieszonych u Szino. Z podnieconą uwagą, a przecież skazany na nieruchomość patrzy na powiększanie się cienia, który wyłonił się z głębi i igra po skale, na której obrał swoje siedlisko.

Nareszcie wzrastająca ciemność ogarnia również załom skalny. Krótki uścisk ręki, zwyczaj mahomański udzielania sobie życzeń, a po chwili na wpół klęcząc, na wpół tocząc się, przesuwa się przez przełęcz, podczas gdy Inarko, krajowiec i towarzysz wyprawy, pozostaje nadal na legowisku. Spieszy się myśliwy, unikając wszelkiego robienia szmeru, wie bowiem, że na strzał za pół godziny będzie już za ciemno. W godzinę musi być już w dolinie rzeczki, jeżeli nie chce, ażeby zupełna ciemność zmusiła go do noclegu na twardych kamieniach wśród mroźnego zimna.

Po wapiennych kamieniach idzie się szybko w górę, tem więcej gdy się ma u butów grube podeszwy z słomy, ułatwiające ogromnie pięcie się po skałach. Rzadko tylko ucieka się do pomocy kijów górskich, których zazębienia oddają duże usługi



Wojskowa droga gruzińska.



Kozice kaukaskie.

przy przechodzeniu po gładkich i ślizkich klocach kamiennych. Pnie się coraz wyżej, a oddycha tak ciężko, że mimowoli gwizd wydobywa się z piersi. Kilka razy próbuje zbadać odległość od stada za pomocą lunety powiększającej ośmiokrotnie. Ciągłe jeszcze ta odległość jest za wielka. A tymczasem zmrok zapada coraz gęstszy...

Naraz spostrzega, że stado się poruszyło. Dokąd stary kozieł je prowadzi? czy ku parowowi, czy ku górze Szino, czy też może nawet ku tej ścianie skalnej, którą przekraczać trzeba obecnie? A może te najtrwożliwsze z wszystkich zwierząt poprzestaną na marnych gałęziach i trawkach, rosnących tutaj na wązkich paskach? Koziorożce są bardzo niewybredne, i jeżeli cośkolwiek im zagraża, wolą takie pożywienie, a za napój mgłę nocną, aniżeli bujną trawę w dolinie i kryniczną wodę strumyka górskiego.

Ściana skalna staje się coraz bardziej stroma, coraz trudniej też uniknąć wywoływania szmeru. A tu jeden spadający w przepaść kamyczek może zmarnować pracę dni kilku.

Jakoś powodzi mu się ciągle, nie zdradził się żadnym szmerem i dotarł na podwójną odległość strzału od tego miejsca, gdzie wypoczywało stado. W punkcie, gdzie skała wystaje naprzód, kładzie się na ziemi i bada przez szkła ścianę skalną. Nic nie widać, zanadto jednakową barwę ma całe otoczenie i kóz dzikich nie sposób jest odróżnić. Tylko wtedy, gdy jasno przyświeca słońce, odbija się koziorożec od tła górskiego, z zapadnięciem zmroku staje się odróżnienie zupełnem niepodobieństwem.

(d. n).

Kronika polityczna.

Wilhelm Wied postanowił wreszcie wyjechać do swojego sztucznego państwa, które zwać się będzie dumnie księstwem Albanji. Na krok ten bądź co bądź ryzykowny zebrał się dopiero z chwilą, gdy mocarstwa postanowiły dać zaręczenie na pożyczkę 75 milionów franków. Bez nich niechciało się przezorne ksiąźatko niemieckie ruszyć z Berlina, co poniekąd złe sprawiało wrażenie w stolicach europejskich. Z drugiej strony nie można znów tak bardzo dziwić się przyszłemu władcy. Kandydatura kosztowała go dotąd przeszło 10 milionów; teraz urządzają w Durazzo dwór książęcy; nadto musi ks. Wied z rabusiów albańskich i najemników uzbroić i umundurować dla siebie conajmniej 6 tys. wojska, a co najważniejsze, opłacić się naczelnikom plemion górskich, aby zachowywali się podczas jego pierwszych rządów względnie spokojnie. Do tego dochodzą drobnotki, jak wynajęcie jachtu na przejazd z Hamburga do Durazzo, utrzymanie licznej służby i tego całego aparatu, który dla samodzielnego księcia jest konieczny, a raczej niezbędny. Czy i kiedy Albanja będzie mogła oddać tę sumę, jest okryte głęboką mgłą niepewności, jak wogóle cała przyszłość sztucznego państwa, które bynajmniej nie dorosło do narzuconej mu roli.

Z kotła bałkańskiego wogóle stale wychodzą nowe dziwolągi, które przestachem napęniają Europę. Obecnie położenie bynajmniej nie przedstawia się zachwycająco. Turcja znów zbroi się wszelkimi sposobami. Najęty z Berlina generał Sanders z powodu nacisku trójporozumienia coprawda nie będzie dowodził wojskiem padyszacha i skazany jest przez ministra Enver baszę na mniej znaczną rolę instruktora szkół wojskowych. Ale w to miejsce sam minister i jego tureccy urzędnicy na gwałt ćwiczą nowe pułki i wysyłają je na granicę grecką. Oprócz tego czując wyraźnie ostrze, skierowane przeciw sobie, i Grecy czynią wszelkie przygotowania do blizkiej wojny. Chodzi o wyspy morza Egejskiego.

Turcja poznała w czasie ostatnich wojen, że jedną z przyczyn niepowodzenia swego przypisać musi brakowi floty nowoczesnej. Więc teraz skupuje okręty stare i nowe z wszystkich stron i posiada już między nimi takie olbrzymy, jakie od czasu wojny japońsko rosyjskiej stały się koniecznością. Oczywiście i Grecja nie pozostaje w tyle i skoro tylko słońce stopi powłokę śniegów i lodów oraz osuszy drogi, na nowo będziemy świadkami zapasów świata chrześcijańskiego i muzułmańskiego na półwyspie. Zapewne i inne państwa bałkańskie nie będą mogły pozostać biernymi, zwłaszcza że i Bułgarja sposobi się do odwetu za swoje ostatnie klęski. Tym razem podział sił będzie zapewne zmieniony, bo Bułgarja stanowczo nie pójdzie ręką w rękę razem z swymi dawnymi sprzymierzeńcami.

Być może, że uda się mocarstwom europejskim zażegnać grożącą burzę; że to nie będzie na długo, nie trudno da się przewidzieć. Nie wróży to nic dobrego całej Europie, która od dwu lat nosi ciężar ekonomiczny krwawego zatargu bałkańskiego.

W Niemczech rozbrat pomiędzy koroną i wojskiem z jednej, a społeczeństwem z drugiej strony pogłębił się znów w ciągu rozpraw parlamentarnych. Socjaliści wnieśli interpelację z powodu zajść w Saverne, przyczem poddano najostrzejszej krytyce postępowanie następcy tronu. Odpowiedział kanclerz, jak

zwykle wymijająco i obiecał z strony rządu rozpatrzenie ustawy wojskowej z r. 1820, na mocy której gwałty armji w Alzacji miały rzekomo prawną postawę.

Skoro jednakże następnego dnia przy dalszem omawianiu tej sprawy żaden z ministrów nie zjawił się w parlamencie, przedstawicielstwo ludowe na znak oburzenia zawiesiło obrady, a w dniu trzecim uchwaliło nie czekać łaski rządu co do rewizji prestarzanych praw pruskich, lecz samo z siebie przeprowadzić konieczną zmianę na podstawie konstytucyjnej.

To bądź to bądź dość energiczne postanowienie parlamentu zaskoczyło rząd pruski i szowinistów. Co zrobi cesarz Wilhem, czy rozwiąże parlament, czy da dymisję kanclerzowi, czy w dalszym ciągu będzie prowadzić walkę przeciwko ludowi, okażą dni najbliższe. W każdym razie zatarg wewnętrzny w Niemczech i butna postawa Prus wobec niemieckich państw południowych poważnie wywołała położenie.

W Galicji znów psuje się ugoda polaków z rusinami, nawiezywania i zrywania tylokrotnie. W ostatniej chwili doprowadzili znów do wybuchu przeciwnieństw rusini. Nie boją się jakoś ani swego metropolity Szeptyckiego ani kompromitacji, jaka ich spotkała z powodu wykrycia ich ścisłego związku z hakatystami pruskimi.

Lech.

Miasto polskie bez żydów.

Działo się w roku 1516. Ks. arcybiskup Jan Łaski, prymas polski, zabronił bezwzględnie żydom wstępu do Łowicza, stolicy księstwa łowickiego, stanowiącego za Rzeczypospolitą, jak wiadomo, własność kapituły gnieźnieńskiej.

Zakaz swój upowodował ks. prymas względami na „ochędostwo i cnotę“ miasta.

Następcy ks. Łaskiego rygor ten utrzymali w swej mocy, zakazując surowo żydom nawet chwilowego pobytu w grodzie prymasowskim.

Jak nad tem boleć musieli synowie narodu wybranego, łatwo się domyślić bodaj już z tego, że Łowicz przed wszystkimi naszymi miastami sływał ongi z swych jarmarków międzynarodowych.

Przy swych kolosalnych, milionowych obrotach jarmarki te ściągały do Łowicza mnóstwo najbogatszych kupców z całej Europy, z Anglikami, Bawarczykami i Grekami na czele. Nie brakło też na nich i mieszkańców Azji, zwłaszcza Persów i Chińczyków.

Jedynie dla żydostwa bramy łowickie były zamknięte: gdy się Szmul lub Chaimek w mieście ukazał, wnet go wyświęcano stamtąd, w tłumie i zgiewku, przy licznych współdziałach gapiów.

Na początku jednak wieku XVII żydzi musieli się przedostać do grodu bogatego. Kto i jak otworzył przed nimi furty miejskie, nie wiadomo, ale że synowie Judy zaczęli już wtedy potrosze zaglądać do Łowicza, rzecz to niewątpliwa. Wnioskować o tem można bodaj z następującego przepisu,

obowiązującego w wieku XVII ojców tego miasta: „aby szachrajstw od żydów nie było, sędzia jarmarczny ma obrać chrześcijanina wiarogodnego i jednego zalecanego żyda, obmyśliwszy mu nagrodę, często kazać rewidować bóżnicę i gospody, gdzie żydzi stawają, aby oszukaństwa w podatku nie było“.

Jakkolwiekby jednak żydzi mogli za Rzeczypospolitej przebywać w Łowiczu jeno tylko czasowo, i to nb. dopiero w XVII wieku.

Dopiero upadek Rzeczypospolitej i zabranie Łowicza przez prusaków zmieniły położenie miasta radykalnie. Antoni Zawadzki, jeden z wybitniejszych obywateli łowickich w czasach porozbiorowych tak się żalił na gospodarkę pruską: „Przez wprowadzenie przez prusaków akcyzy upadły najslawniejsze nasze jarmarki, najohydniej zaś, niegodziwie i niesłusznie, prawem surowo zakazane towary rząd pruski sprowadzić pozwolił.“

Jakie to były owe „niegodziwe i niesłuszne“ towary, dowiadujemy się z dalszego ciągu listu Zawadzkiego i jego uzalań się na gospodarkę prusko-żydowską w Łowiczu: „W jednym tylko roku niewiast niepocziwych 180, chrześcijanek i żydówek, żydzi do miasta ściągali, aby cnotę, pocziwość i panieństwo na tandecie sprzedawały, aby skarb przez akcyzę był zbożony“.

I odtąd już aż się roi od żydów w Łowiczu. W roku 1823 żydowstwo tamtejsze występuje na wet zaczepnie przeciwko księciu Lubeckiemu, ministrowi skarbu Królestwa Polskiego, gdy ten nakażał większe dawać baczenie na żydów, aby im utrudnić uchylanie się od płacenia podatków, co narażało skarb polski na duże straty.

A. Ł.

Z blizka i daleka.

Własna siedziba. Towarzystwo pracowników handlowych i przemysłowych w Warszawie widziało w dniu 18 b. m. urzeczywistnienie swych gorących życzeń i zabiegliwej 20 letniej pracy swych kierowników. Ks. arcybiskup Kakowski w dniu tym poświęcił piękny gmach własny Towarzystwa przy ulicy Siennej № 16. Jestto budynek trzypiętrowy z salą gimnastyczną, biblioteką, biurami T-wa, salami posiedzeń i redakcją „Świata pracowniczego“, urządzeniem kąpielowem i bocznymi lokalami. Całość w stylu Ludwika XVI z ozdobną salą zebrań przedstawia się estetycznie, wygodnie i praktycznie. Inicjatorem tego pięknego dzieła był przed 20 laty p. Józef Karasiński, który dzisiaj widzi starania swe uwieńczone tak pomyślnym skutkiem.

W nowym gmachu rozpocznie się teraz oży-

wiony ruch wydziałów, kas, zebrań i pracy organizacyjnej. Życząc zakładowi najlepszego powodzenia wyrażamy nadzieję, że Tow. pracowników handlowych i przemysłowych w dzisiejszej przełomowej epoce odrodzenia i odżydzenia kraju, spełni ważne swe zadania na polu oświaty, wykształcenia zawodowego i wskrzeszenia polskiego handlu i rzemiosła.

Następcy Kardynała Rampolli. Papież Pius X mianował kardynała Ferrata sekretarzem stanu w miejsce kardynała Rampolli. Wybór ten wywołał wielkie zdziwienie, aczkolwiek można tłumaczyć go tem, że kardynał Ferrata był członkiem urzędu tego, a pozatem kardynał Serafino Vanutelli, któremu to stanowisko powierzono, wymówił się odeń z względów na nadwątlone zdrowie. Tak więc Ferrata jako jeden z najwięcej wpływowych i najwięcej szans do tronu papieskiego mających kardynałów objął to zaszczytne wielce stanowisko. Kardynał Rampolla sprawował również urząd wielkiego przeora Małty. Opróżnione stanowisko bibliotekarza w Watykanie i arcykapłana bazyliki św. Piotra objął kardynał Casseta.

Przytułek dla wychodźców polskich w Berlinie, powstały dzięki staraniom tow. opieki nad emigrantami przy czynnym współudziale p. Karola Rosego i jego żony oraz ks. dziekana Beiserta poświęcono w Berlinie. Telegramy z życzeniami nadesłali księża biskupi: gnieźnieński, poznański i kalisko-kujawski.

Do numeru niniejszego (5) załączamy odezwę w sprawie używania „TOMASÓWKI“.

ZE SCENY.

Teatr Wielki. Lohengrin, opera Fr. Wagnera. Pod kierownictwem kapelmistrza opery warszawskiej, Adama Dołżyckiego, który w świetny sposób wskrzesił już „Halke“, „Straszny dwór“ i „Verbum nobile“ oraz „Carmen“, wszedł na scenę teatru Wielkiego czarujący utwór Wagnera „Lohengrin“. Wielki talent, umiejętność i celowość pracy towarzyszą stale młodemu artyście podczas krótkiego u nas pobytu. Do wspaniałego wystawienia jednej z najpiękniejszych oper świata przyczynił się także zespół artystów tej miary, jak: Dygas, Wol Lewicka, Lachowska, Gorski i Ostrowski. Niemniej i chóry stały na wysokości swego zadania, tak że Dołżycki mógł zgotować Warszawie prawdziwy wieczór świąteczny.

Z piśmiennictwa.

Stefan Barczewski. Czerwony Mesjasz. Z wspomnień włoźcegi. Warszawa 1913. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Autor jest jednym z rzadkich polskich publicystów, który nietylko podróżował, ale wiele lat mieszkał za morzem, stykając się bezpośrednio w różnych swoich zajęciach z wszystkimi warstwami społeczeństwa polsko-amerykańskiego. Z tych bezpośrednich obserwacji, w rzadkich godzinach wczasów, powstały te ciekawe szkice, które wychodzą obecnie w osobnej książce. W galerji typów nie brak i starego emigranta politycznego, spodziewającego się rokrocznie wojny „na wiosnę“, i zmarnowanego muzyka pijaka („Burza“), i wykołajców, lekkomyślnością na tamtą stronę wielkiej wody zaprowadzonych („Szlachta nowojorska“), i ofiar spekulacji gruntowej („Nie zginie“); w galerji typów egzotycznych spotykamy potomka plemienia Dakotów („Czerwony Mesjasz“), potomka inków peruwiańskich („Aimara“), wodza apaszów, kończącego burzliwy żywot w cyrku („Geroimo“) i wielu innych. Wszystkie nowele spowinięte są w mgłę melancholji, a na dnie dusz bohaterów czai się głęboko ukryta tęsknota: za przeszłością i za ziemią ojcystą.

Stanisław Bełza. *O naszej chwale.* Wydanie drugie. Warszawa, Gebethner i Wolff. 1914.

Dziełko to zajmuje się naszym wieszczem Adamem Mickiewiczem i przedstawia w ujmujący sposób postać poety jako najszczytniejsze wcielenie miłości kraju, pojęcie ojczyzny w pierwszych jego utworach, stosunek jego twórczości do Niemców i wreszcie ostatnie chwile naszego barda narodowego.

Stanisław Bełza. *O palących sprawach.* Warszawa. 1913.

Wybitny publicysta polski, który jako słup przewodni swych prac stawia sobie zasadę: dobra i pożytku ojczystego kraju, — w broszurze swej: *O palących sprawach* zajmuje się trzema zagadnieniami, najbardziej palącymi, współczesnej chwili. W pierwszej części p. t. „Światła” rozbiera sprawę zakładania szkół ludowych w Królestwie w danych warunkach politycznych i przychodzi do wniosku, że i najgorsze szkoły lepsze są niż żadne. Wyleczenie ludu z strasznej choroby analfabetyzmu będzie dziełem najprostszym nawet uczelni, a wtedy prasa i książka dokonają dzieła oświaty.

W drugim artykule, zatytułowanym „Dokąd zajdziemy?” autor zestawia walkę Wielkopolski przeciw kolonizacji pruskiej z sprawą odzyskania Warszawy i Królestwa, wskazując na przykład obrony dzielnicy piastowskiej.

W końcowym wreszcie ustępie: „Z powodu książki” St. Bełza zastanawia się nad najnowszą literaturą polską i dochodzi do bardzo smutnego wyniku. Protest przeciwko powieściom Zapolskiej, siejącym zepsucie i rozkład, daje mu pobudkę do wysnucia dużo trafnych uwag nad znaczeniem i zadaniem naszego piśmiennictwa.

„Dziecka”, miesięcznika poświęconego wychowaniu domowemu i społecznemu, ukazał się № 1. Zawiera on rozprawy i artykuły dotyczące duchowego i cielesnego rozwoju dziecka oraz poradnik dla wychowawców w zakresie zatrudniania i kształcenia dzieci. Pismo to dla matek i nauczycielek cenny przedstawia przyczynek pomocniczy.

NEKROLOGJA.

Leopold Mechelin.

Leopold Henryk Stanisław Mechelin, znakomity finlandzki mąż stanu, prawnik i publicysta, ur. 24 listopada 1839 roku w Fredrikshamm, zmarł 26 b. m. Od roku 1868 do 1872 był dyrektorem finlandzkiego Banku związkowego, w roku zaś 1874 objął katedrę prawa państwowego w uniwersytecie helsingforskim.

Od roku 1872 brał żywy udział w pracach wszystkich sejmów W. Ks. Finlandzkiego, przyczem okazał się świetnym mówcą. W roku 1876 Cesarz Aleksander II obdarzył go szlachectwem. Leopold Mechelin przyczynił się wielce do wprowadzenia w życie ustawy wojskowej z 1878 r. Stanął potem na czele partii liberalnej szwedofilskiej, której program sam opracował w 1880 r.

W r. 1882 Cesarz Aleksander III mianował Mechelina senatorem. W senacie, w charakterze szefa departamentu skarbu i handlu położył wielkie zasługi dla rozwoju handlu i przemysłu w Finlandji. Rozwinął następnie szeroką działalność publicystyczną, mającą na celu obronę autonomji finlandzkiej, co zmusiło go do ustąpienia w r. 1890 z senatu.

W roku 1900 naród finlandzki wybił medal na cześć Mechelina.

Jenerał Bobrikow zmusił Mechelina w r. 1903 do opuszczenia Finlandji. Mechelin udał się do Sztokholmu i stamtąd w dalszym ciągu prowadził kampanję konstytucyjną.

W r. 1904 Mechelin, wybrany na posła do sejmu, wrócił do Helsingforsu, gdzie urządzono mu poprostu pochód tryumfalny. Gdy w końcu grudnia 1905 r. przywrócono w Finlandji stosunki konstytucyjne, Mechelin, który był jednym z przywódców partji konstytucyjnej, otrzymał nominację na wiceprezesa gospodarczego departamentu senatu, który to urząd odpowiadał w Finlandji stanowisku prezesa ministrów. Na pierwszym posiedzeniu odnowionego senatu Mechelin wygłosił znakomitą mowę, zawierającą w sobie cały program wprowadzenia w W. Ks. Finlandzkiem ważnych reform w duchu demokratycznym.

Zmiana warunków politycznych położyła kres tym wszystkim zamiarom. W czerwcu 1908 r. Mechelin zmuszony był znowu ustąpić z senatu, do którego już nie powrócił.

Większa część prac Leopolda Mechelina, nie tylko publicystycznych, lecz i naukowych, jest poświęcona sprawie położenia politycznego Finlandji i jej konstytucji. Teorią podstawową wywodów Mechelina jest, że Finlandja stanowi państwo, złączone z Rosją unją realną i że prawa zasadnicze W. Ks. Finlandzkiego mogą ulegać zmianom tylko w drodze prawodawstwa finlandzkiego.

Szarada.

*Pierwsze z wiosną woda niesie,
Drugich pełno wśród fasoli,
A całością mędrzec zwie się,
Co wnet strzyże a wnet goli.*

*Takich mędrców znajdziem wszędzie,
Znakomitych w każdym względzie;
A i to się wiedzieć godzi,
Że Warszawa moc ich rodzi.*

Od Administracji.

Naszych stałych przedpłacicieli prosimy o pospieszne odnowienie prenumeraty i zamówienie okładki albumowej do „Świątyni sławy narodowej”.

Do numeru niniejszego (5) załączamy arkusz z modami.

Odpowiedzi Redakcji.

W Pani Jadw. Neym w Dąbrowce. Okładkę do „Świątyni sławy narodowej” wyślemy po unormowaniu nakładu potrzebego.

Stalej prenumeratorce. Prosimy raz jeszcze zbadać treść artykułu. Ryciny miały wywołać wstręt, co też wszechstronnie uznano.

Szanownym Czytelnikom „Ziarna”, którzy w dalszym ciągu przestali nam życzenia z powodu 25 jubileuszu pisma, niniejszem serdecznie składamy podziękowanie.

WP. A. Koplina w Głównie. Potwierdzamy odbiór rb. 1.40 w markach poczt. Rozwiązanie szarady z № 3—4 nadesłał Wpan jako trzeci z rzędu.

OFIARY.

Helena Drożdżyńska z Izobilna „na nędzę wyjątkową” rubli 3 kop. 60.

TREŚĆ N-ru 5.

Obrona miast przed żydami. — Pamięci bohaterów. — Polska sztuka plastyczna II. — Wezwanie, wiersz Z. Zaleskiego. — Piotr Jaxa Bykowski: Pamiętniki włóczęgi. Myszuress (c. d.). — Dla dobra ludu. — Z Kaukazu (c. d.). — Kronika polityczna. — Miasto polskie bez żydów. — Z blizka i daleka. — Ze sceny. — Z piśmiennictwa. — Leopold Mechelin. — Szarada. — Od Administracji. — Odpowiedzi redakcji.

Ilustracje: Grobowiec Stanisława i Jana Żółkiewskich w Żółkwi. — St. Chlebowski: Szkic batalistyczny. — St. Fabiański: Na etapie. — Fr. Roubald: W górach Kaukazu. — W. Gerson: Sobieski sadzi drzewka w Wilanowie. — Żandarmerja albańska arestuje w Walonie wicherzycieli tureckich. — Kursy dla włościanek w Warszawie. — Wojskowa droga gruzińska. — Kozice kaukaskie.

PRZEDPŁATA na tygodnik „ZIARNO” wraz z wszystkimi 53 dodatkami wynosi: w Warszawie rocznie rubli 6, półrocznie rb. 3.00, kwartalnie rb. 1.50, z przesyłką pocztową rocznie rb. 7, półrocznie rb. 3.50; kwartalnie rb. 1.75, zagranicą rocznie koron 20, albo marek 17, półr. k. 10, albo m. 8½, kwart. k. 5 albo m. 4.25 albo 1 dolar

Adres Redakcji i Administracji „Ziarna” w Warszawie: Tamka 46, telefon Redakcji 402-44.

Redaktor i wydawca: L. Marjan Wolff.

Kierownik literacki: dr. fil. Tadeusz Jaworski, przyjmuje codz. od 6—7 ppł.

Papier: Krajowej Spółki Papierniczej.

Druk E. Szyllera, Tamka № 46.